

ANDRZEJ WALIGÓRSKI
(1908—1974)



Bardzo trudna jest sytuacja autora, który ma napisać tekst o kimś, z kim łączyło go tylko tyle, że był na jego pogrzebie. Choć właściwie nie jest to mało. Byłam świadkiem ceremonii, uczestniczyłam w rytuale, ostatnim z *rites de passages*. Gdyby dalej pójść tym tropem antropologicznego dyskursu, można by kontynuować, mówiąc, że oto tam, na Cmentarzu Rakowickim, w upalne sierpniowe południe 1974 r., kiedy gorąco powodowało, że kobiety rezygnowały z przynależnej szacownemu miejscu skromności na rzecz umiarkowanego negliżu, a na pogrzeb nieznanego profesora przyszła także grupa młodych ludzi zawieszonych w liminalnej fazie praktyk robotniczych, otóż gdyby pójść tym tropem odwiecznego mitu, można by rzec, że nastąpiło wtedy przejście duszy antropologa w jej nowe wcielenie, zupełnie tego nieświadome i nie domysławiające się tego.

I mimo iż go nigdy nie znałam, to znałam go dobrze, jego postać wyłaniała się z anegdot opowiadanych przez starszych kolegów, z jego książki, będącej jednym z pierwszych intelektualnych wyzwań i wreszcie z duchowego patronatu, który rozciągał nad naszym zakładem, stale obecny w pamięci i wspomnieniach Andrzeja Palucha, naszego kierownika, a Waligórskiego duchowego spadkobiercy. Jego postać wyłoniła się także zza stert zakurzonych książek, które syn przekazał nam w kilka lat po śmierci Profesora. Spędziliśmy nad tym różnorodnym bogactwem niejedno popołudnie, wyłuskując perły światowej literatury antropologicznej, tak cenne, łączące nas przez poprzedniego właściciela z głównym nurtem tej nauki, której byliśmy boczną, wtedy jeszcze bardzo boczną, odnogą.

*

Nie mam zamiaru pisać naukowej laurki czy okolicznościowego wspomnienia, chcę natomiast przedstawić wizerunek, który powstał z lektury prac profesora Waligórskiego, z opracowań ich dotyczących, ale przede wszystkim z rozmów, które przeprowadziłam z jego najbliższymi, z jego studentami i współpracownikami. Chcę napisać o człowieku, który w czasach, kiedy trudno było zachować autonomię intelektualną, potrafił to jednak robić, który zmagał się z samym sobą, i któremu zewnętrzne okoliczności polityczne, ale także wewnątrzrodowiskowe tej walki nie ułatwiały, który wystawiony był w życiu na szereg granicznych doświadczeń, jak wojna, trud badań terenowych, intelektualna korupcja lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, wreszcie chroniczne choroby osłabiające go fizycznie i psychicznie.

To borykanie się z życiem, ta ustawiczna walka z przeciwnościami losu, ale i własną słabością, to życie w cieniu Mistrza, który jakby losy swego ucznia nieświadomie zaprogramował, w ważnym momencie intelektualnie „ustawił”, stworzył mentalną matrycę, z którą sam Waligórski później polemizował, ale której nie potrafił zaprzeczyć czy się od niej odciąć. Był po prostu uczniem Bronisława Malinowskiego i takim już pozostał.

Był postacią tragiczną, postacią skrojoną na inny czas lub inne miejsce, był marginalizowany, ale na tym marginesie dominował. W łańcuchu uniwersyteckiej historii

był ogniwem, które przechowało zasadę dobrej roboty intelektualnej. Nie poddawał się modom, choć starał się, by jego poglądy naukowe nie były uważane za opozycyjne, wykazywał zbieżność teoretyczną funkcjonalizmu i marksizmu (nie on jeden zresztą, jak wiemy), ale mimochodem, w przypisie do swoich głównych zainteresowań. Marginalizacji swojej osoby zawdzięczał, moim zdaniem, przetrwanie, bo zostawiono go w spokoju. Dla Bardzo Ważnych Instancji nie był istotnym przeciwnikiem. Pozwoloło mu być sobą, to rzadki przywilej w tamtych czasach.

Jeżeli, jak chcą niektórzy, nasze życie jest tylko realizowaniem jakiegoś scenariusza, to życie Profesora Waligórskiego było realizowaniem zupełnie innego scenariusza niż te, które dla owego czasu były typowe. Jego życie było dramaturgiczną hybrydą: jakby postać angielskiego gentlemana wbudowano w sztukę socrealistyczną, realizowaną w uniwersyteckich dekoracjach.

Waligórski, gdyby dożył lat dziewięćdziesiątych, nie musiałby się wstydzić swych przekonań lub też dokonywać karkołomnych intelektualnie i moralnie metamorfoz (jakich ciągle jesteśmy zdumionymi świadkami), okazałoby się bowiem, że to jednak on miał rację, że różne modne prądy, modą narzuconą lub spontaniczną, jak marksizm czy strukturalizm, przeminęły, a on wierny swym funkcjonalistycznym ideałom wzbudzałby szacunek, nawet jeżeli trochę wymuszony. Intelektualna i moralna lojalność powinna współcześnie być w cenie, ale rzadka to cecha i niewielu na nią stać, więc nie wiadomo jakby z tym było naprawdę.

*

Krótką biografię profesora Andrzeja Waligórskiego znajdujemy we wspomnieniu jego ucznia – Andrzeja Palucha:

Urodził się 12 grudnia 1908 r. w Krakowie. Tutaj w r. 1926 ukończył II Gimnazjum im. króla Jana Sobieskiego. W tym samym roku podjął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim w zakresie języków nowożytnych, językoznawstwa ogólnego i filozofii ścisłej. W r. 1931 uzyskał stopień magistra filozofii i rok później wyjechał na stypendium Funduszu Kultury Narodowej do Londynu. Tam po raz pierwszy zetknął się z antropologią społeczną, dyscypliną, która określiła całość Jego działalności naukowej i dydaktycznej. Studiował na Uniwersytecie Londyńskim pod kierunkiem prof. Bronisława Malinowskiego w słynnej wówczas dzięki Malinowskiemu London School of Economics.

Tam w r. 1938 prof. Waligórski uzyskał stopień doktora filozofii. [...] Po powrocie do kraju w r. 1938 prof. Waligórski objął stanowisko pracownika naukowego w Państwowym Instytucie Kultury Wsi, kierowanym przez prof. Józefa Chałasińskiego. Niestety II wojna światowa przerwała tę owocnie rozpoczętą pracę. W wojnie tej prof. Waligórski brał czynny udział. Kampanię wrześniową rozpoczął w 3 Batalionie Strzelców z Rembertowa, a następnie walczył w lasach Zamojszczyzny w oddziale uformowanym przez majora Cichockiego, gdzie był dowódcą kompanii. Dostawszy się do niewoli uciekł z obozu jeńców i na przełomie r. 1939/40 przez Węgry przedostał się do Paryża, gdzie wstąpił do Armii generała Sikorskiego. Stamtąd został oddelegowany do pracy naukowo-politycznej w Królewskim Instytucie Spraw Międzynarodowych w Londynie. [...]

Po wojnie, w r. 1946, prof. Waligórski wyjechał [...] do Kenii we wschodniej Afryce. Prowadził tam blisko trzyletnie badania terenowe w społeczeństwie pierwotnym Luo. Wyniki tych badań opracowywał później przez wiele lat już w Polsce, publikując szereg rozpraw. Ważniejsze z nich to: *Studia nad*

więzią terytorialną i rodzinną wschodnioafrykańskiego plemienia Luo, „Etnografia Polska”, t.VII, 1963; *Problem białego osadnictwa w Kenii*, „Przegląd Socjologiczny”, t.XXIII, 1969; *Kinship Terminology of the Luo*, „Africana Bulletin”, nr 11, 1969; *Wzory i normy bogactwa i zamożności w afrykańskim społeczeństwie chłopskim. Studium procesów zmiany kulturowej*, „Studia Socjologiczne”, 1970, nr 2(37). Plemieniu Luo poświęcona jest też monografia *Spoleczność afrykańska w procesie przemian 1890—1949. Studium wschodnioafrykańskiego plemienia Luo*, Warszawa 1969. Część swoich doświadczeń badacza terenowego zawarł prof. Waligórski w krótkim szkicu *Implikacje teoretyczno-etnograficznych badań terenowych*, „Etnografia Polska”, t.XIII, 1969.

W r. 1948 prof. Waligórski wrócił do Polski i objął stanowisko adiunkta w Katedrze Etnografii Ogólnej i Socjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, kierowanej przez prof. Kazimierza Dobrowolskiego. W 1955 r. został docentem, a w 1969 r. profesorem tegoż Uniwersytetu. W r. 1962 objął kierownictwo Zakładu Etnografii i Socjologii Ludów Afrykańskich [...].

Po reorganizacji struktury Uniwersytetu Jagiellońskiego, gdy Katedra, w której pracował, weszła w skład Instytutu Socjologii UJ, prof. Waligórski został kierownikiem Zakładu Socjologii Kultury i Oświaty [...]. Ponadto wykładał w Katedrze Etnografii Uniwersytetu Warszawskiego i w Studium Afrykanistycznym na tym samym Uniwersytecie.[...]

Oprócz działalności uniwersyteckiej uczestniczył jako członek w pracach Komisji Socjologicznej oraz Komisji Orientalistycznej Oddziału PAN w Krakowie. Był przewodniczącym Komisji Etnograficznej Krakowskiego Oddziału PAN, która głównie dzięki jego wysiłkom została reaktywowana w 1973 r. [...]

Największym dziełem życia prof. Andrzeja Waligórskiego była opublikowana w r. 1973 *Antropologiczna koncepcja człowieka*, najobszerniejszy w języku polskim wykład historii antropologicznej teorii kultury. W książce tej dał wyraz swoim zainteresowaniom i swojej erudycji humanisty wielkiego formatu.[...]”¹

*

Na temat młodości Andrzeja Waligórskiego rozmawiam z jego synem Michałem, docentem fizyki, w jego gabinecie w Instytucie Onkologii w Krakowie. W białym kitlu, przystojny, szpakowaty, zaaferowany różnymi sprawami, przypomina amerykańskiego lekarza raczej niż polskiego uczonego. Biurko zavalone papierami, z trudem znajduję kawałek wolnego miejsca, żeby postawić dyktafon. Moje zainteresowanie jego ojcem spotyka się z przychylnością i sympatią, mam wrażenie, że jest dlań oczywiste. Chętnie odpowiada na moje pytania, sam stara się jak najwięcej przypomnieć, mówi otwarcie, choć od razu zastrzega również, że pewne sprawy będą musiały zostać między nami. Wspomina o starej waliszce, w której zgromadził ojca papiery i którą chętnie ze mną kiedyś przejrzy, ale nie teraz, bo ma wiele rozpoczętych projektów i spraw pilnych, ale kiedyś na pewno do tego dojdzie i wtedy mnie zawiadomi.

Mój ojciec chyba się urodził w Krakowie, tego nie jestem pewien, ale na pewno całe dzieciństwo spędził w Krakowie, mieszkał w okolicy ulicy Szlak, bardzo często mi pokazywał to miejsce. Moja babcia, a jego mama, była pielęgniarką i, co w owych czasach było rzadkością, żyła w separacji z moim dziadkiem (ojciec zresztą też się z moją matką rozwiódł). Babcia z powodu tej separacji musiała pracować zawodowo i nie wiem, czy robiła to we współpracy z Boyem-Zeleńskim czy nie, w każdym

¹ A. Paluch, *Wspomnienie o profesorze Andrzeju Waligórskim*, „Przegląd Socjologiczny” 1974, s. 342—344.

razie zajmowała się krakowskimi prostytutkami, wobec czego gdy chodziła Plantami, to wszystkie prostytutki mówiły do niej 'nasza Pani'. Widocznie leczyła choroby weneryczne tych dziewcząt. To była jedna z rodzinnych anegdotek. Oprócz tego moja babcia w swoim mieszkaniu wynajmowała pokoje studentom. Ojciec z tego powodu cierpiał, nigdy nie miał dla siebie pokoju, bo ci studenci tam mieszkali, ale było to źródło zarobku dla ojca, dawał tym wszystkim studentom korepetycje. Mój dziadek był na owe czasy dużą figurą, był sekretarzem Uniwersytetu Jagiellońskiego, doktorem praw, mam nawet jego patent doktorski. Nigdy jednak nie słyszałem mojego ojca, by coś opowiadał o swoim ojcu. Wiem natomiast od mojej ciotki Krystyny (siostry ojca), że Jan Onufry Waligórski został pochowany w Kielcach, a wcześniej przegrał majątek babci w karty i z tego powodu się rozwiódł. Taka jest legenda rodzinna.

Ojciec był studentem profesora Dyboskiego, który wtedy prowadził katedrę anglistyki w Uniwersytecie Jagiellońskim. Był wybitnym studentem i chciał się zająć językoznawstwem, interesował się literaturą szwedzką, językiem szwedzkim jako takim. Wiem, że miał wtedy kontakty z prof. Kuryłowiczem, z którym się potem przez całe życie przyjaźnił. Z polecenia profesora Dyboskiego był ojciec we wczesnych latach trzydziestych stypendystą Fundacji Fullbrighta. W Londynie za pierwszym swoim pobytom spotkał Malinowskiego, a za drugim pobytom pojechał już do niego i u niego robił doktorat. Ojciec znakomicie znał angielski, władał nim doskonale, jak również greką, łaciną, znał niemiecki, znał francuski zupełnie dobrze. Już nie wiem, skąd mam tę informację, ale spotkał się podczas swego pierwszego pobytu z Malinowskim właściwie przypadkowo. Doktorat ojca dotyczył języka propagandy i był ilustrowany przykładami z propagandy hitlerowskiej dlatego, że były to już lata przedwojenne. Ojciec obronił doktorat w London School of Economics z Malinowskim jako promotorem. Zawsze sobie obiecywałem, że ten doktorat stamtąd wyagnę, bo warto by go kiedyś przeczytać. Co prawda, to nie moja działka, ale wydaje się, że to było takie płynne przejście od językoznawstwa do antropologii. Wiem, że Malinowski też pisał coś o języku magii.

Malinowski był człowiekiem, który niestychanie intensywnie żył. Moja matka go nie cierpiała, bo uważała, że duża część kłopotów mojego ojca była z nim związana. Ojciec był podobno zafascynowany Malinowskim, do tego stopnia, że się zachowywał tak jak on, miał taką samą gestykulację. To było niesłychane wrażenie. Malinowski na pewno cenił ojca, ale to była relacja uczeń – mistrz i myślę, że to nigdy nie było partnerstwo. Malinowski już zdążył umrzeć, a mój ojciec ciągle traktował go jak swojego mistrza, chociaż w wielu sytuacjach poszedł dalej, nie poprzestął na interpretacjach, wniósł coś nowego, chociaż mnie to trudno ocenić.

Sam Andrzej Waligórski opisywał seminarium Malinowskiego w swoim *Postowiu* do polskiego wydania głównej monografii wielkiego antropologa. W tym opisie wi-
dać podziw, ale nie ma egzaltacji, jest obiektywna relacja, w której czujemy zaangażo-
wanie i domyślać się możemy jak autor w powojennej Polsce musiał tęsknić za tego
typu intelektualną działalnością:

Odbывало się ono w londyńskiej School of Economics raz na tydzień przez trzy godziny, z godzinną przerwą na obowiązkową herbatę. Uczestniczyłem w nim w roku akademickim 1935/1936 i 1936/1937, a także przez część trimesztru letniego 1934. Tematy dyskusji oczywiście się zmieniały, ale pozostały mi w pamięci dyskusje na temat ogólnej teorii kultury, religii i magii, antropologii ekonomicznej oraz kontaktu kulturowego w Afryce. [...] Seminarium miało charakter terenowy, a więc wypracowywano tu podstawy metodologiczne techniki badań w społeczeństwach prostszych, metody analizowania, klasyfikacji oraz budowania konstrukcji opisu naukowego na podstawie materiału terenowego. Czyniono to zawsze pod kątem istniejącej teorii antropologicznej, którą materiały te albo potwierdzały, albo uzupełniały na pewnych odcinkach. [...] w okresie, który pamiętam, dominowały zainteresowania afrykańskie – Czarny Ład stał się tym wielkim laboratorium teorii i techniki

badani etnograficznych. W okresie tym istniała już wcale pokaźna grupa terenowców afrykańskich, która dzięki pomocy finansowej Fundacji Rockefellera miała już za sobą badania terenowe w różnych częściach Afryki. [...] Ponadto znajdowało się tu zawsze paru administratorów kolonialnych o szerszych zainteresowaniach naukowych, którym ułatwiano tego rodzaju poczynania. Było zawsze paru Amerykanów oraz przedstawicieli dominiów. Odrębną grupę stanowili Afrykanie – za moich czasów wybijał się Jomo Kenyatta, ulubieniec Malinowskiego [...]. Dla nich, jak miałem sposobność parokrotnie sprawdzić, wspomnienia te są nadal żywe. Seminarium Malinowskiego było bowiem ostoją liberalizmu, gdzie mogły znaleźć zrozumienie aspiracje i dążenia emancypacyjne Afrykanów. Seminarium to stanowiło również punkt oparcia dla licznej wówczas grupy uchodźców z Niemiec [...] Dodatkową obok seminarium formą pracy były grupy dyskusyjne, organizowane dla pewnych określonych zagadnień czy mniej formalne zebrania w domu Malinowskiego na 6 Oppidans Road, Primrose Hill. [w przypisie: Dom ten często gościnnie przyjmował uczniów z pustą kieszą, zwłaszcza w miesiącach letnich, gdy Malinowski udawał się na wakacje w Dolomity do swej willi w Oberbozen (Suprabolzano). Między innymi i niżej podpisany znalazł tu dach nad głową, gdy już po wyczerpaniu się stypendium udał się na egzamin doktorski do Londynu. Dom ten został trafiony bombą niemiecką podczas działań wojennych i uległ zniszczeniu]².

W Dziale Rękopisów Biblioteki Jagiellońskiej znalazłam dwa listy Andrzeja Waligórskiego do prof. Stanisława Kota. W pierwszym donosi:

Jestem już 10 dni w Londynie, gdzie od razu wpadłem w Prof. Malinowskiego i kółko zainteresowanych studentów skupiających się wokół niego na School of Economics. Na naszym seminarium lingwistycznym, obok miejscowych osób, bierze udział Prof. Kuryłowicz, jeden Norweg docent z Oslo, Niemiec, asystent z Języka i ja. Seminarium (i większa część wykładów) odbywa się w formie dyskusji, do której Prof. Malinowski wywołuje i w której precyzuje się stanowiska i wychwytuje nowe pomysły. Dyskusje te są na wysokim poziomie, gdyż wszyscy uczestnicy są już zaawansowani – mniej więcej w wieku starego doktora – młodego docenta (list z 16 X 1935).

W drugim liście po dwóch miesiącach pisał:

U mnie wszystko dobrze. Z Prof. Malinowskim niezwykle ciekawa praca. Jestem bardzo blisko niego, także obok seminariów wiele korzystam przez ten bezpośredni kontakt. Prof. Kuryłowicz kazał mi załączyć od siebie wyrazy szacunku dla Pana Profesora. Żyjemy razem w wielkiej zgodzie, tylko politycznie się trochę nie zgadzamy. Prof. Malinowski pod adresem jego żywiołowego antysemityzmu stale twierdzi, że Bronisław Malinowski to tylko upiększenie, bo naprawdę jest Berek Malinower” (list z 3 XII 1935)³.

Niewiele udało mi się dowiedzieć na temat okresu, kiedy Waligórski wrócił do Polski po obronie pracy doktorskiej, wspomina ten okres jego syn w kontekście przekonań politycznych ojca:

[...] z profesorem Chalasińskim jeszcze przed wojną przekładali razem *Życie seksualne dzikich*, co autoryzował Malinowski, ale jednocześnie budowali koncepcję wsi spółdzielczej, interesował się spół-

² A. Waligórski, *Posłowie*, [w:] B. Malinowski, *Argonauci Zachodniego Pacyfiku*, [w:] *Dziela*, t. 3, s. 665–669.

³ Dział Rękopisów BJ, sygn. Przyb. 170/83 t. 29.

dzielczością wiejską i to na pewno musiało być lewicowe. Na pewno miał prosocjalistyczne sympatie". Podobnie okres wojenny nie jest szczególnie w opowieściach moich interlokutorów uwzględniany, wydaje się, że profesor Waligórski sam niechętnie o tym mówił. Prof. Czesław Robotycki (dyrektor Instytutu Etnologii UJ) wskazywał na fakt, że Profesor „był niezwykle skromnym człowiekiem. Dopiero później, gdy go już zabrakło, dowiedzieliśmy się od syna Michała, gdy próbowaliśmy w Katedrze [Etnografii] wydać tomik ku jego pamięci, że miał piękną kartę wojenną, a on nic o tym nie mówił. Był człowiekiem, który z kombatancrwa nie potrafił odcinać kuponów. Ta skromność przy ogromnej wiedzy była ważną jego cechą". Podobnie prof. Leszek Dziegiel (Instytut Etnologii UJ) mówił o nim, że „nie był człowiekiem, który by opowiadał o swoich strasznych perypetiach. Wspominał, że w końcowej fazie kampanii wrześniowej wycofali się i ewakuowali przez granicę i wspominał, że przezornie sobie zaszył do kalesonów monety ze szczerego złota i potem, gdy sytuacja była niepewna, zapłacił jakiemuś kontrolerowi i dobrze wyszedł na tym. Trafił później, jak wielu innych, przez Słowację i dalej aż do Wielkiej Brytanii. Wojnę traktował jako normalną sytuację, nie uważał się za ofiarę, pokolenie okopów, ale na ten temat wiele nie rozmawialiśmy.

O okresie wojennego pobytu Waligórskiego w Anglii, a potem o wyjeździe do Afryki rozmawiam z jego żoną w mieszkaniu przy ulicy Królewskiej, na tyłach dawnego Pewexu. W saloniku kilka afrykańskich sprzętów. Pani Waligórska jest bardzo dystyngowaną osobą, która mimo swych prawie osiemdziesięciu lat jest bardzo energiczna, czuje się w niej stanowczość i dbanie o formę. Jest ubrana w delikatne beże, ma lekki makijaż, siedzi wyprostowana na brzeжку sofy. Jej polszczyzna jest swobodna, choć wtrąca często angielskie słowa. Po prostu jest Angielką.

Pracowaliśmy w tym samym budynku. Ja dostałam pracę w czasie wojny w Royal Institute of International Affairs, Foreign Research and Press Service, bo ja znałam włoski i hiszpański, pracowałam w sekcji hiszpańskiej. On coś tam też robił, ale nawet nie wiem co, bo on wtedy pracował dla Polskiego Ministerstwa Informacji. Mieliśmy wspólnych znajomych, innych Polaków, którzy mieszkali w Oxfordzie. Było tam wtedy tylko dwudziestu Polaków, wrócili z wojska, byli bardzo młodzi. Jak wyszłam za mąż, straciłam pracę, bo straciłam obywatelstwo, a moja posada była rządowa, więc nie mogłam jej dalej zajmować. Potem przenieśliśmy się do Londynu, gdy się spodziewałam Jenny.

Uważam, że Malinowski miał bardzo zły wpływ [na ludzi], po pierwsze był niesamowicie zarozumiały, specjalizował się w nieprzyjemnych dowcipach, okrutnych, które dla mnie wcale nie były dowcipami. Znałam kilku jego studentów, bo spotykaliśmy się z nimi w Londynie. Ja widziałam u wszystkich, że byli niesamowicie pod jego wpływem. Ja nigdy go osobiście nie poznałam, ale bardzo jestem z tego zadowolona, bo byśmy się na pewno bardzo nie lubili. Miał szalenie mocny wpływ na swych studentów, szczególnie na kobiety, bo mężczyzn nie znałam bliżej. Andrzej się modelował na niego, co Malinowski powiedział, to on kopiował, to był po prostu jego *hero*. Był z nim bardzo blisko, bo tłumaczył tę książkę. Jego podejście do mnie było takie właśnie sarkastyczne. Poznałam jego córkę, ale ona była jeszcze młodą panienką, była chyba najmłodsza, bardzo ją polubiłam. Nie wiem, na czym polegał ten jego wpływ, to jest rzecz, którą bardzo trudno zrozumieć. Oni wszyscy byli bardzo zainteresowani tą nauką, która była wtedy właściwie czymś nowym. Są ludzie, którzy mają taki wpływ po prostu automatycznie.

Jak sobie dawałam radę w Afryce? Ja jestem po prostu zaradna. Jestem z pochodzenia Irlandką, a nie ma irlandzkiej rodziny, która by nie była gdzieś [rozproszona] po świecie. Ja się urodziłam w Anglii, moja matka była Angielką, ale ojciec pochodził z północnej Irlandii. Mam krewnych na całym świecie. Ja się bardzo łatwo adaptuję. Teraz jestem tu pięćdziesiąt lat, ale tęsknię za Afryką i nie znam nikogo, kto by mieszkał jakiś czas w Afryce i nie myślał tak samo. Ja jestem przekonana, że to jest atawizm, bo jednak pierwszy człowiek pochodził z Afryki.

Co tam robiłam? Uczylałam, bo tam głęboko w buszu była tylko stacja misyjna i szkoła dla dziewcząt. Na początku nic nie robiłam, ale później uczyłam angielskiego w tej szkole najstarsze dziewczyny. Tam się nie da dużo pracować, ze względu na klimat; to było na samym równiku. Miałam służbę, bo zawsze się ma. Dzieci były małe. Miałam dla nich nianię, ale był ogród, prowadziłam dom. Ja mu nie pomagałam w badaniach w Afryce, on miał swojego asystenta, który go uczył języka i mu pomagał. Dlaczego akurat tam pojechalismy? Bo to plemię nigdy nie było studiowane, a to jest drugie największe plemię w Kenii. To byli wspaniali ludzie, bardzo ich lubiłam, szybko się nauczyłam ich języka. On miał lekcje, uczył się i dobrze znał ten język, ale wiele razy było tak, że on coś do nich mówił i oni go nie rozumieli, a jak ja to powiedziałam, to rozumieli. To jest dlatego, że angielski jest jedynym w Europie językiem tonalnym i dlatego Anglicy są zawsze najlepsi, jeśli chodzi o egzotyczne języki, bo one są (jak chiński) wszystkie tonalne. My to wszystko słyszymy, a Polak tego nie słyszy, nie potrafi powtórzyć. Ja się tego języka nie uczyłam, po prostu go łapałam, teraz już go zupełnie zapomniałam. Dzieci też mówiły *luo*.

Klimat w Afryce mi nie przeszkadzał, można się było dostosować. Dom był dobrze zbudowany, zawsze było chłodno, bo wszystkie drzwi były na przestrzal i zawsze był przeciąg. Dach był bardzo gruby. Dom był specjalnie wybudowany, na warunki afrykańskie był stary, miał około dwudziestu lat. Wybudowali go dwaj bracia, wszystko robili sami, cegły i inne rzeczy. Następny dom, który mieliśmy, też oni budowali. Ja tam byłam bardzo zadowolona, przystosowałam się doskonale. W okolicy była tylko jeszcze jedna biała osoba, nauczycielka w szkole. A potem w tym drugim miejscu, które było dokładnie na równiku, już było więcej białych, ale też niedużo. Tam zaczęła się jego astma, dopiero po czterdziestce (córcie też się zaczęła astma w tym wieku). Nie jest wykluczone, że miało to podłoże psychiczne, on się po prostu poddał tej chorobie.

Mam trzy bardzo cenne rzeczy stamtąd: harfa *Luo*, bęben i to krzesło, które nie tylko chcę pani pokazać, ale proszę na tym usiąść. Jest idealne, prawda? Niesamowicie wygodne, ale niestety tu jest centralne ogrzewanie i to krzesło pękło, ale jest zrobione z jednego kawałka.

Właśnie o tych przedmiotach przeczytałam później w książce profesora Waligórskiego:

Okrągłe stolki wyrzynane z jednego kawałka twardego drewna (*'ober'*), rodzime instrumenty muzyczne, wielkie bębny czy dzwonki dla bydła były rzadkością na jarmarku. Wykonywanie tych przedmiotów pochłaniało немало czasu i zmuszało do wyznaczania za nie stosunkowo wysokiej ceny. Były one wobec tego za drogie dla przeciętnego nabywcy, który wołał kupować wyroby pochodzenia europejskiego. Na przykład cena okrągłego stołka z drewna *ober* wynosiła 9—12 szylingów, zależnie od wielkości. Cena miejscowego instrumentu muzycznego w rodzaju gitary lub bębna wahała się między 30 a 40 szylingami. Z uwagi na zbyt wielkie ryzyko nie wykonywano tych towarów na jarmarku, lecz trzeba je było zamawiać u rodzimych rękodzielników⁴.

Obraz życia i badań w Afryce polskiego uczonego znajdujemy także w jednym z artykułów Leszka Dzięgla:

Jak wyglądały jego realia badawcze? Mieszkał Waligórski wraz z żoną i dwojgiem dzieci w niedużym, wynajętym domu w obrębie misji w Ng'iyi. Na co dzień prowadził badania typu obserwacji uczestniczących w pobliskiej zagrodzie niejakiego Obare Nyaruotha, zamożnego wieśniaka-poligamisty, żyjącego wraz ze swoimi żonami i potomstwem w obrębie obszernego obejścia. Mieszkali tam również i dorośli synowie starego gospodarza, nieraz żonaci. Była to jednak tylko smutna konieczność.

⁴ A. Waligórski, *Spoleczność afrykańska w procesie przemian 1890—1949 r.*, Warszawa 1969, s. 182—183.

Z wywiadów Waligórskiego wynika, że na przykładzie rodziny Obarego można było zaobserwować bez mała wszystkie typowe problemy ówczesnego chłopstwa Luo. Wśród nich tak pałace, jak brak ziemi, rozdrobnienie poletek i konieczność osiedlania się dorosłej młodzieży z rodzinami w obrębie ojcowskich zagród, jak kurczenie się prestiżu tradycyjnych ojców-hodowców bydła na rzecz matek, prowadzących uprawy polowe i zdobywających za nie pieniądze na targu. A także sprawy rosnących ambicji młodej inteligencji afrykańskiej, nauczycieli, ex-robotników z europejskich plantacji i przedsiębiorstw, byłych policjantów rubylczych i żołnierzy.

Waligórski nie ograniczał się, rzecz jasna, do eksplorowania spraw wyłącznie jednej zagrody i jej mieszkańców. Opodal znajdował się plac targowy, gdzie systematycznie gromadziła się ludność całego okręgu. Analiza bazarów w Ng'ya dostarczyła etnografowi cennych danych na temat mechanizmów lokalnego handlu, okresowej fluktuacji cen oraz wytwarzającej się warstwy kupieckiej, zdobywającej wśród chłopstwa pozycję uprzywilejowaną. Wywiady i obserwacje dokonywane w Ng'ya uzupełniał Waligórski objazdami sąsiednich regionów prowincji Nyanza. Opanował język Luo w stopniu wystarczającym do prowadzenia badań. Studiował ówczesną prasę kenijską oraz aktualne wydawnictwa prezentujące zarówno dane na temat kraju, jak i dyskusje o jego najbliższej przyszłości. Prowadził rozmowy i konsultacje tak wśród przedstawicieli administracji kolonialnej, jak i pośród miejscowych misjonarzy-badaczy dziejów i tradycji tej części Afryki Wschodniej. Analizował sprawozdania urzędowe i raporty handlowe. W polu jego zainteresowań znajdowały się zarówno tradycyjne systemy pokrewieństwa, jak i dane dotyczące rozprowadzania w badanym dystrykcie metalowych, nowoczesnych pługów. Zajmował się z tą samą uwagą zasadami wzajemnych powinności członków rodziny afrykańskiej, co poczynaniami kolonizatorów brytyjskich wśród Luo na przestrzeni ostatnich kilkunastu lat. Rzeczowo, a zarazem z temperamentem odślaniał kulisy rywalizacji plemion bantujskich i nilockich w Kenii oraz linię postępowania, jaką obierali w tym względzie Brytyjczycy⁵.

Leszek Dzięgiel daje także bardzo interesujący obraz działalności Waligórskiego w Afryce z perspektywy współczesnych badaczy tych terenów:

Przybył do Kenii, rządzonej przez sprężystą, nieomal wzorową administrację brytyjską, jako człowiek przysłany z metropolii w celu dokonania badań etnograficznych wycinka ludności rubylczej. Miał za sobą placet zarówno rządu, jak i autorytet Uniwersytetu Londyńskiego. Dla sprawnej, rutynowanej administracji angielskiej w Kenii był zatem człowiekiem, któremu udzielano z całym przekonaniem wszechstronnej pomocy i opieki. Żadnemu z urzędników np. nie przychodziło do głowy, ażeby przybyśza po cichu traktować jako podejrzanego i niewygodnego intruza, który swoimi relacjami może obnażyć skorumpowane poczynania władz w terenie, inercję i niedołęstwo, jak ma to miejsce tak często w dzisiejszych państwach niepodległej Afryki [...]. Do pomocy w sporządzaniu wyciągów z aktów urzędowych pozwolono Waligórskiemu zatrudniać miejscowego Afrykanina. Angażowany przez etnografa rubylczy pomocnik nie był przedmiotem inwigilacji i pogróżek lokalnej tajnej policji, jak to dziś się zdarza nieraz w krajach Trzeciego Świata. [...] Nie utrudniano Waligórskiemu kontaktu z ludnością większą, prowadzenia wywiadów, obserwacji bazarów. Przeciwnie, cały autorytet kolonialnej administracji i policji stał ewidentnie za owym wysokim, chudym, białym człowiekiem, który najprawdopodobniej w oczach wieśniaków afrykańskich był nie lada dziwakiem, a jego zainteresowania po cichu musiały nieźle Afrykanów bawić. Kręcącemu się po bazarach, polach i zagrodzie oryginałowi nie wolno było zrobić krzywdy czy przykrości. Skutki jakiegokolwiek wybuchu ksenofobii byłyby opłakane, z czego sobie najprawdopodobniej doskonale zdawano sprawę. Co nie zmieniało faktu, że Waligórski był człowiekiem niezwyklego taktu i przesadnej wprost delikatności w kontaktach międzyludzkich [...].

⁵ L. Dzięgiel, *Andrzej Waligórski – etnograf szybko zapomniany*, [w:] L. Dzięgiel (red.), *Na egzotycznych szlakach*, Wrocław 1987, s. 13–14.

Jedyne podobno objawy niechęci względem zainteresowań etnografa kulturą tradycyjną, „pogańską”, zdradzali jakoby lokalni misjonarze europejscy, walczący od lat z „dzikością” dawnego obyczaju Afrykanów i ich, zdaje się, skłonnościami do nałogów. Jakoś chyba jednak tolerowano się.

Etnograf [...] jak inni Europejczycy korzystał z pomocy miejscowej służby. Dysponował samochodem osobowym, którym swobodnie poruszał się po okolicy. [...] Lata czterdzieste to był wreszcie także okres rozwoju nowoczesnej medycyny, chroniącej Europejczyka przed większością chorób tropikalnych, które w tejsze prowincji Nyanza jeszcze pół wieku wcześniej zbierały wśród białych przerażając podobno żniwo⁶.

Mimo wszystko badania terenowe nigdy nie są idyllą, lecz bardzo trudnym doświadczeniem, wielu badaczy rezygnuje po paru miesiącach, gdyż nie są w stanie znieść psychicznie oddalenia od własnej kultury lub nie potrafią zorganizować sobie pracy albo okazuje się nagle, że zupełnie nie umieją rozmawiać z ludźmi. Niektórzy, jak Malinowski, popadają w apatyczny letarg i czytają europejskie powieści, pograżając się w nich jak w narkotycznym śnie. Badacz nigdy nie jest pewien efektów swojej pracy, nigdy nie wie, czy coś się z tych tysięcy informacji, które gromadzi, później „złoży”. Jeżeli do tego dochodzą jeszcze kłopoty ze zdrowiem, a Waligórski zapadł wtedy na astmę, to nawet obecność najbliższych nie jest w stanie wiele pomóc.

Żeby jednak nie popaść w zbyt dramatyczny nastrój, zacytuję samego bohatera opisującego swe kłopoty terenowe:

Z trzciny [...] cukrowej, której sprzedają zajmowali się w znacznym procencie mężczyźni, pędzono alkohol domowymi sposobami, do czego jednak bezpośrednio nie dotarłem. Wszelkie napoje wysokowe o większej zawartości alkoholu były ustawowo zakazane dla ludności afrykańskiej i produkcja ich oraz spożywanie groziły odpowiedzialnością karną. Sprawy te były więc starannie ukrywane przed okiem etnografa. [A w przypisie:] Raz tylko na weselu w lokacji Uholo spotkałem się z piciem bimbru nazywanego tam tubylczym lub nubijskim ginem. Odbывало się to nocną porą w ten sposób, że podczas ogólnej zabawy i tańców europejskich (również zakazanych dla Afrykanów), pan i panna młoda siedzieli przy stoliku, pod którym trzymano butelkę z alkoholem. Od czasu do czasu pan młody sięgał pod stół, nalewał sporą porcję do szklanki, samemu upijał odrobinę trunku po czym dawał etnografowi oraz swej młodej żonie, a wreszcie i muzykantom. Niestety nie potrafię określić smaku tego bardzo mocnego napoju, gdyż korzystając z ciemności wykręciłem się od picia trunku⁷.

*

Po dwuletnim pobycie w Afryce rodzina Waligórskich wróciła do Europy na pokładzie włoskiego statku.

Z Afryki – wspomina pani Waligórska — pojechaliśmy do Anglii w czerwcu, czy początkiem lipca, gdzie krótko byliśmy, on jakieś sześć tygodni, a ja trzy miesiące. Chciał wrócić do Polski, bo po

⁶ Tamże, s. 16–17.

⁷ A. Waligórski, *Spoleczność afrykańska w procesie przemian 1890–1949 r.*, Warszawa 1969, s. 180–181.

pierwsze miał tu matkę, a poza tym liczył, że dostanie tu posadę na Uniwersytecie, co się rzeczywiście stało. A ja byłam gotowa na wszystko. Było bardzo ciężko wtedy po powrocie, bardzo słabo zarabiał, na Uniwersytecie bardzo źle płacili, więc ja właściwie zarabiałam, dawałam lekcje, miałem czterdzieści siedem godzin tygodniowo! Oprócz tego robienie korekty dla PAU (bo jeszcze była wtedy PAU, potem PAN), poprawianie jego tekstów, pisanie na maszynie jego prac. Zarabiałam, jak tylko mogłam. Ale miałam wspaniałą teściową, myśmy się zaprzyjaźniły natychmiast jak się spotkałyśmy, ona zawsze trzymała moją stronę. Na co dzień miałam do pomocy osobę, która jest ze mną od pięćdziesięciu lat, więc jedyną rzeczą, jakiej nie musiałam robić, to było prowadzenie domu. Szyłam swoje ubranie i ubranie dla córki, nawet piżamę dla niego, bo on był duży i nie mógł kupić. Jak ja to wszystko robiłam, to naprawdę nie wiem.

Ja nie byłam dla niego odpowiednią osobą. Gdy się pobraliśmy, on był zaskoczony, że ja jestem inteligentna, jemu się to nie podobało, bo on myślał, że ja tylko będę dobrze wyglądać i tyle. Te lata potem w Polsce były bardzo trudne. Miałam jednak wiele do niego szacunku, jeśli chodzi o jego pracę. Bo rzeczywiście był wspaniały. Od czasu do czasu spotykam jego studentów i oni same peany mówią na jego temat.

Ja się nie czułam w Polsce obco. Po pierwsze miałam szczęście przyjechać do Krakowa, a dwa miasta, które ja najlepiej znałam to Oxford i Florence, a Kraków ma wiele wspólnego z tymi miastami, a wtedy jeszcze bardziej niż teraz. Ja się czułam tutaj od razu jak w domu, ale ja to już mam, że się wszędzie czuję jak w domu. Nie byłam zdziwiona powojenną biedą tutaj, bo w Anglii w czasie wojny i później też była wielka bieda, ludzie w to teraz nie wierzą. Jeśli chodzi o jedzenie, to było mniej więcej tak samo. Jak jechałam w czterdziestym dziewiątym roku do Anglii (dostałam jeszcze paszport), to kupiłam w Warszawie ogromną szynkę. Wszyscy szaleli, bo oni tego nie widzieli od lat, więc tu było lepiej niż tam. W mojej rodzinie nie było tak źle, bo mieliśmy duży ogród, więc były jarzyny, kury. Wydaje mi się, że pod względem towarzyskim było wtedy o wiele lepiej. Mimo że dużo pracowaliśmy, dużo się spotykaliśmy z przyjaciółmi, zawsze były bale kostiumowe, bo nikt nie miał wieczorowego stroju. Nikt nie miał pieniędzy, te pieniądze krążyły, gdy ja dostałam pracę, to pożyczałam komu innemu, wszyscy byliśmy na jednym poziomie, wszyscy byliśmy biedni. A teraz są wściekle bogaci i bardzo biedni.

Michał Waligórski:

Po wojnie [ojciec] bardzo szybko się zorientował co się dzieje, ale już był w sytuacji bez wyjścia, bo moim zdaniem nie chciał i nie mógł już do Anglii, czy gdzie indziej, wyjechać. Równocześnie tutaj się bardzo dobrze przyjęła moja mama, bo wtedy była bardzo duża potrzeba lekcji angielskiego, konwersacji, tłumaczeń i korekt językowych. Razem z ojcem bardzo dużo takich prac wykonywali, za zresztą śmieszne pieniądze. Ojciec wtedy bardzo dużo pracował właśnie jako tłumacz. Na pewno nie był antykomunistą, mam nawet podanie mojego ojca do partii i sądzę, że musiało to być tak: w momencie kiedy go z rodziną, z małymi dziećmi wyrzucano z mieszkania, to ktoś mu pewnie poradził, żeby on napisał podanie, żeby go przyjęli na kandydata, to go może z mieszkania nie wyrzucą. Nie był tym, który nosi pod koszulą bibułę, choć zresztą to jeszcze nie były te czasy. Na pewno był w pewien sposób skonfundowany, bo miał raczej lewicowe poglądy.

Leszek Dzięgiel:

Po powrocie miał przykre doświadczenia, bo się otwarcie przyznał, że ma pewną ilość obcej waluty i właściwie było to już przestępstwo dewizowe i miał przez to nieprzyjemności. Dla kogoś przyzwyczajonego do formy postępowania wobec obywatela według brytyjskiej szkoły to był wstrząs. Pojawił się właściwie w ustroju policyjnym i wpadł jak śliwka w kompot. Wszedł w gęszcz rozmaitych ukła-

dów komunistycznych. Ja po raz pierwszy się z nim zetknąłem w r. 1953, był to okres stalinowski w całej pełni. I mogę sobie wyobrazić jak on się tu pojawił z tym sznytem angielskiego gentlemiana, naukowca, z żoną Angielką i dwójką małych dzieci. Fakty są takie, że Waligórski otrzymał od Anglików stypendium na zrobienie konkretnych badań i spodziewano się, że następnie pojawi się w Wielkiej Brytanii i nie tylko złoży sprawozdanie, ale że coś opublikuje, a ci, którzy go wysłali będą mieli konkretne dane. To była normalna procedura, bo nie po to się daje komuś pieniądze, [żeby nic z tego nie mieć] A tymczasem Waligórski przebywał w Afryce, zbierał konkrety, a następnie pojechał, ale do Polski.

Czesław Robotycki:

Nie słyszałem nigdy, żeby on się publicznie deklarował z jakimiś poglądami politycznymi. Dopiero po latach się dowiedziałem, gdy byłem już zaufanym asystentem profesora Gładysza, który miał dużą wiedzę o środowisku uniwersyteckim, a na swoich słynnych imieninach, które urządzał dla swoich asystentów i współpracowników, często opowiadał różne zdarzenia i plotki, mówił, że Waligórski był człowiekiem zamkniętym, zgorzkniałym, bo jego przełożony, profesor Dobrowolski, bardzo mu utrudniał otrzymanie profesury. Faktycznie nie publikował dużo, ale dorobek dydaktyczny miał wspaniały. Wiem także od profesora Gładysza, że kiedy powstawał Instytut Socjologii, proponował Waligórskiemu, żeby przeszedł do jego zakładu. Mówiąc mu, że u socjologów zostanie na bocznym torze, że ta dynamiczna wtedy grupa młodych naukowców z Kwaśniewiczem, Sztompką, Kubiakiem, Jerschiną, go zmarginalizuje. A Gładysz chciał zrobić silniejszą katedrę etnografii, gdzie Waligórski byłby jedną z ważniejszych postaci, bo byłiby tylko oni dwaj [profesorami]. Ale Waligórski dał się przekonać Kwaśniewiczowi i faktycznie jego zakład potem był mniej ważną jednostką.

Dalej prof. Dziegiel wspomina:

To co ciążyło na jego psychice to fakt, że on nie opublikował tych materiałów. Uważał, że jego sponsorzy mieli o to do niego pretensje. Dlaczego nie był w stanie tego opracować? Miał straszną masę tych notatek, myślał, że zrobił to bardzo porządnie, a ja uważam, że on w tej masie się zagubił. Wydaje mi się, że on sądził, że on to tutaj opublikuje, że natrafi na środowisko życzliwe takiej sprawie, że to jest coś nowego i coś ekstra. W gruncie rzeczy to był pierwszy nowoczesny etnolog czy antropolog społeczny badający Afrykę. Był przygotowany metodycznie i koncepcyjnie, a jak tutaj przyjechał, natrafił na zupełny brak zrozumienia; jak mówił, zarzucano mu, że usiłuje jakieś kolonializmy promować, jednym słowem atmosfera początku lat pięćdziesiątych, a w dodatku trafił do środowiska socjologów spod znaku Tuptusia [Kazimiera Dobrowolskiego] do Katedry Socjologii Ogólnej i Etnografii Niezależnej, jak sam mawiał. Odniosłem wrażenie, że z Kazimierzem Dobrowolskim był w złych stosunkach. Waligórski próbował ustawić się badawczo wobec zjawisk kultury polskiej, ale bardziej socjologicznie niż etnologicznie. Widząc, że temat afrykanistyczny nie ma szans spełnienia, nie podejmował go, coraz bardziej przez całe lata, ale te nowe rzeczy też mu zanadto nie wychodziły, nie miał do tego serca. Nic właściwie nie opublikował, poza jakimś raportem o zjawiskach współczesnej kultury, gdzieś to utonęło w jakichś teczkach.

Mieszkał sam na placu Inwalidów, to był budynek, który był w gestii Uniwersytetu, potem go UB przejęło, potem go UB oddawało. Mieszkania tam były gigantyczne, ale on zajmował tylko jeden pokój z przyległościami, resztę mieszkania zajmował ktoś inny. To był wielki pokój, słoneczny, wychodzący na plac, nieprawdopodobnie zagracony. Bywałem tam dziesiątki razy, często do mnie dzwonił. Był właściwie człowiekiem samotnym i chętnie utrzymywał kontakty ze swoimi studentami, oczywiście nie ze wszystkimi, ale na pewno z paroma osobami.

Jak się przeniósłem z Katowic do Krakowa i znowu pracowałem w jakichś zupełnie nie naukowych instytucjach, jak Młodzieżowy Dom Kultury (Waligórski usiłował mi załatwić pracę u Chałasińskiego

w Instytucie Afrykanistycznym, ale oczywiście nic z tego nie wyszło), to Waligórski mi zaproponował współpracę, to był rok 1968, mówił „mam na to jakiś fundusik” (ale to nie były duże pieniądze, inni to mieli pieniądze, ale Waligórskiego zawsze starano się wykołować, a on był taki wstydlivy gentleman w stylu profesora oksfordzkiego z lat trzydziestych, bardzo taktowny, nieśmiały), „więc może byśmy współpracowali, może by się Pan podjął próby opracowania moich materiałów afrykańskich?”. Ponieważ bardzo byłem zlakniony pracy bardziej profesjonalnej, a Waligórski wiedział, że przez szereg lat pracowałem w dziennikarstwie i nieraz już pisywałem jakieś recenzje, znał moje możliwości, że mogłem pewne rzeczy opracować, zredagować, poprawić, zadiustować.

Zaprosił mnie do swego pokoju, a tam rzeczywiście leżała w kącie taka przyzma paczek, papieru zapisanego wyblakłym atramentem, powiązanych sznurkami na krzyż. Były tak stare, że papier był już jasnobrązowy, pożółkły. To były te jego właśnie rozważania kenijskie. Tam w kłębach kurzu wyciągaliśmy po kolei te paczuski. Zacząłem to rozpakowywać i przepisywać po prostu na maszynie te gryzmoły, te strzępy meldunków. Wtedy nie było komputerów, które by znakomicie to ularwiły. Wówczas trzeba było przepisywać, potem podklejać i tworzyć takie długie taśmy tekstu, mające mniej więcej logiczną sekwencję. Starale się rozwinąć skrótowe zdania, albo unikać jakiegos powtórzenia. Jak mu zacząłem dawać te taśmy, to on zupełnie odżył, mówił „Panie Leszku, jestem nowym człowiekiem, dopiero teraz widzę, że może teraz da się z tego coś zrobić”. Ja mu układałem w pierwszej wersji, a on to brał, przestylizowywał, dodawał pewne rzeczy, ręcznie czy na maszynie. Ta praca trwała długo. Był człowiekiem, który wtedy odżył psychicznie, bo zdawał sobie wcześniej sprawę z tego, że plon jego badań właściwie niszczyje, był już wtedy bardzo chory na astmę, często leżał w szpitalu na Skawińskiej pod tlenem.

Dowiedział się, że na Akademii Rolniczej powstał jakiś pseudonaukowy instytut Rolnictwa i Leśnictwa Krajów Tropikalnych i Subtropikalnych i udało mu się tam dla mnie załatwić etat naukowo-techniczny. Potem, gdy już zacząłem pracować, były próby, żeby dostać stypendium afrykanistyczne z antropologicznej fundacji Wenner-Grena. Nie dało to żadnego rezultatu, a Waligórski był przekonany, że przeciwko niemu wszyscy się sprzysięgli, a pewnie były dość zwyczajne powody po temu. Więc zaproponował mi: „Wie Pan co, tu jest taki wielki zasób materiału dotyczący niewolnictwa Luo. Ja już się tego nie podejmuję opracować, niech Pan to weźmie, niech Pan to potraktuje jako ośnowę empiryczną, niech Pan to rozbuduje o współczesną literaturę afrykanistyczną i napisze doktorat pod moim kierunkiem”. Ja ten doktorat napisałem i obroniłem, ale na Uniwersytecie Jagiellońskim, nie na Akademii Rolniczej. Bardzo mu wiele zawdzięczam, starał się podać rękę, był bardzo życzliwy, tak samo wobec innych ludzi, którzy teraz może usiłują dać do zrozumienia, że nic takiego nie było, ale to było.

A co ja bym miał Waligórskiemu do zarzucenia? Grzeszył tym, czym grzeszy wielu obecnie polskich badaczy terenowych, że prezentowane materiały są jakby przywiezione z Marsa, w bardzo niewielkim stopniu uwzględniają szerszy kontekst kulturowy. Jeżeli ktoś opisuje rzeczywistość z północnego, czy ze środkowego Afganistanu, albo drugi opisuje rzeczywistość Magrebu, to tak jakby to było coś zupełnie wyjątkowego, a tymczasem to jest część szerokiego kontekstu kultury, który oczywiście występuje w różnych barwach, ale trzeba to zasygnalizować, że one występują na pewnych obszarach, czy w różnych kulturach w sposób podobny. To miałbym do zarzucenia jego opisom.

*

Główna monografia Andrzeja Waligórskiego *Spółeczność afrykańska w procesie przemian 1890—1949 r. Studium wschodnioafrykańskiego plemienia Luo*, została wydana przez Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego w nakładzie 500 egzemplarzy i „odbito [ją] w powielarni własnej w październiku 1969 r.”. Autor we wstępie dziękuje dwu osobom:

W przygotowaniu niniejszego opracowania wiele pomocy okazał mi mgr Leszek Dzięgiel [...], który moje wykłady opracował pod względem redakcyjnym. Na koniec nie mogę nie wspomnieć zawsze życzliwego ustosunkowania się profesora Stefana Strelcyna, Kierownika Studium Afrykanistycznego Uniwersytetu Warszawskiego, który umożliwił mi prowadzenie tych wykładów w Studium Afrykanistycznym, a także nie szczędził mi pomocy i zachęty⁸.

O czym jest ta książka, mówi profesor Dzięgiel:

Jego opisy nie były sporządzone dla samego opisu, choć i to nawet nie byłoby bez znaczenia. Jeżeli on napisał książkę *Spoleczność afrykańska w procesie przemian*, nie chciał tam przedstawić kształtu, powiedzmy, grabi, czy młotki, którymi się tam posługiwano, tylko chciał przedstawić pewien problem, mianowicie w jaki sposób kolonizatorzy, poprzez swoją specjalną politykę gospodarczą, zmusili miejscowych do reorientacji swojego życia, jak rozbudzili pewne potrzeby, które były na rękę kolonizatorom i później to zjawisko się już zaczęło samo obracać, już przerosło ambicje i cele. Uważam, że to było odmienne od tego, co tutaj pisano, od tych wszystkich prac opisowych. On chciał przedstawić pewnego procesu przemian, który został narzucony w początku wieku XX przez Europejczyków, pokazywał pewien mechanizm, który musiał działać i gdzie indziej także. To było bardzo rozsądne. Ale on mniemał, że ten obszar będzie dalej bardzo progresywny i że będzie się to dalej obracało. Ja, będąc w Oksfordzie, przypadkiem natrafiłem na pewną młodą damę, Angielkę, która pracowała na podobnych obszarach i napisała pracę, z której wynikało, że jest to obszar szalenie zacofany, że tam właściwie czas stanął, że tam w ogóle jakaś mizéria jest. Mam kopię tej pracy. To była studentka, która zrobiła bardzo szczegółowe *case study* we wsi, która miała taką śmieszna nazwę, mianowicie Koguta, niedaleko zagrody [opisywanej przez Waligórskiego], która potem przestała istnieć. To, co zapowiadał Waligórski, się nie sprawdziło. On uważał, że kolonializm odchodzi, ale że to dalej będzie się rozwijało w wolnej Kenii, że pewien proces został uruchomiony.

Warto się także zastanowić nad tym, w jaki sposób ta monografia jest napisana. Flesz antropologicznej narracji może oświetlać badaną społeczność, samego badacza zostawiając w cieniu; może go oświetlać od czasu do czasu lub poprzez autorski styl uprzytamniać jego obecność; może wreszcie skierować strumień światła na samego antropologa i poprzez jego doświadczenie dopiero ukazywać badaną kulturę. O ile współczesna antropologia bardzo lubi podejście ostatnie (nie tylko ta nastawiona postmodernistycznie), to zarówno Bronisław Malinowski, jak i Margaret Mead i inni wielcy klasycy badań terenowych, wybierali podejście drugie lub też może raczej wybierał to podejście ich pisarski temperament. Jednak większość monografii antropologicznych została napisana według podejścia pierwszego.

W przypadku profesora Waligórskiego o tym wyborze (najpewniej nieświadomym) mogły przesądzić cechy jego charakteru: skromność i powściągliwość. Cokolwiek by powiedzieć o Malinowskim, nie był on ani skromny, ani powściągliwy. Cóż bowiem, jak nie pycha i próżność może nas pchać do pisania o sobie? W *Spoleczności afrykańskiej* próżno by szukać jakichś dłuższych fragmentów dotyczących samego etnografa, jakichś opisów przyrody czy oddania lokalnego życia takim, jakim je etnograf widział. Zapis Waligórskiego jest pozbawiony Waligórskiego, jest zupełnie inny niż zapis jego mistrza,

⁸ *Ibidem*, s. 5.

który kreował w wyobraźni czytelnika obraz trobriandzkiej wsi, jej mieszkańców, ale także samego etnografa. Całe pokolenia antropologów wiedzą dokładnie, gdzie stał namiot Malinowskiego, jak wyglądał jego dzień pracy, na czym polegały jego problemy, wiedzą nawet, jaki był koloryt wybrzeża. Tego niestety Waligórski czytelnikowi nie daje, nawet nie usiłuje dać, jakby z góry zakładając, że brak mu literackiego talentu mistrza. Ale to nieprawda. Pod sam koniec książki, gdy się już „rozkręcił”, daje Waligórski popis swego talentu w opisie jarmarku, a przezeń całej właściwie tubylczej gospodarki. Czyta się te fragmenty z wielką przyjemnością, ale jednocześnie z żalem, że nie ma ich więcej, że nie miał autor tyle zaufania do siebie, by pisać tak właśnie:

Jarmark ten w obrębie dystryktu należał raczej do średnich [...] odbywał się raz na tydzień — we wtorki. To barwne i interesujące zbiegowisko już dla samego aspektu widowiskowego było jako całość interesujące dla etnografa. Tutaj jednak w pierwszym rzędzie rozpatrujemy jego znaczenie gospodarcze. Targowisko, na którym co wtorek zbierało się parę tysięcy ludzi znajdowało się na górze Ng'ya, nieco na uboczu od stacji misyjnej oraz usytuowanych blisko ośrodka misyjnego szkół. Sam plac targowy wydęptany, bez jednego źdźbła trawy, obsadzony był dokoła drzewami eukaliptusowymi, które dawały nieco cienia. Niższy szpaler drzew przedzierał targ produktami rolnymi i warzywem, czyli tak zwany jarmark kobiecy, od targowiska zwierzętami, które można by nazwać jarmarkiem męskim. Na targowisko wiodły dwie lokalne drogi, łączące się z głównym traktem idącym do Kisumu i Butere, dostępne dla pojazdów mechanicznych, a także szereg pomniejszych drózek i ścieżek. W dni targowe płynęły tędy strugi ludzi: mężczyzn i kobiet, przy czym tych drugich było więcej, gdyż jarmark, podobnie jak i małe targowisko był zmajoryzowanym przez kobiety przedsięwzięciem. Mężczyźni pędzili przed sobą zwierzęta, nieśli naręcza trzciny cukrowej, pęki postronków do wiązania bydła i inne produkty. Część z nich przybywała na rowerach służących zarazem jako środek do transportu towarów. Z reguły zajeżdżało tu również kilka ciężarówek a niekiedy nawet i autobus z pasażerami i towarem umieszczonym na dachu. Grupy kobiet niosły na głowach drózkami polnymi i ścieżkami koszyki i gliniane naczynia wypełnione produktami kobiecych gospodarstw. Im bliżej jarmarku, tym te strugi ludzkie gęstniały bardziej, przy drogach zaś zobaczyć można było coraz więcej ulomnych, kalek czy po prostu żebraków, których przyciągało to wielkie skupisko ludzkie. Bardziej przedsiębiorczy usilowali zwrócić uwagę na siebie i zabić tłum. Byli to wędrowni jarmarczni kuglarze.

Przy samym wejściu na plac targowy znajdował się okazały kram, obsługiwany przez osobnika odzianego w dziwny strój i usiłującego swoim zachowaniem zwrócić powszechną uwagę. Obok wyłożone były również niecodzienne towary: wielkie, czarne ziarna, olbrzymie strąki, rozmaite jagody, proszki, a także nawóz słoni — jednym słowem paraferalia magiczne, które miały zapewnić pomyślny zbyt przyniesionych na jarmark towarów. Płynąca z najbliższej okolicy fala ludzka docierała tu około godziny 10 rano. Wówczas też rozpoczynał się jarmark. Swoją kulminację osiągnął między godziną 11.00 a 12.30, kiedy to obroty były największe. Potem towarów zaczynało brakować. Tłum przerzedzał się, ceny spadały, obniżane przez tych, którym zależało na pozbyciu się resztek przyniesionego towaru. Jarmark w Ng'ya zasięgiem swym ogarniał w przybliżeniu obszar leżący w promieniu 10—12 kilometrów [...] Ogólna liczba osób biorących udział w jarmarku jest trudna do obliczenia. Orientacyjnie można przyjąć, że osiągała ona 4—5 tys.⁹

W dalszym ciągu tego fragmentu opisuje Waligórski poszczególne sektory jarmarku, a przy okazji mówi o całej gospodarce Luo, jarmark bowiem jest świetnym do

⁹ *Ibidem*, s. 176—177.

tego pretekstem. Podobny zabieg konstrukcyjny zastosował jego mistrz w *Argonautach Zachodniego Pacyfiku*, gdzie takim pretekstem do ukazania całej kultury była wyprawa *kula*. Robiąc te porównania, muszę także uprzytomnić czytelnikowi fakt, że Malinowski opracowywał swe materiały w idyllicznej scenerii Wysp Kanaryjskich, natomiast Waligórski wrócił do stalinowskiej Polski, bardzo długo nie mógł znaleźć nikogo, kto dzieliłby z nim jego zainteresowania i kto mógłby go stymulować i zachęcać do pracy nad przywiezionymi materiałami. A ten problem każdy badacz zna dobrze: zniechęcająca do wszystkiego góra nie opracowanego materiału. Nie trzeba już nawet wspominać trudności finansowych, bo tych ciągle doświadczamy, bez względu na ustrój.

*

Jednak dla całych pokoleń krakowskich etnografów i socjologów Andrzej Waligórski zostanie w pamięci jako wykładowca. Dla jednych wspaniały mistrz, dla innych irytujący dziwak. Wołałam zapytać o wspomnienia tych pierwszych, bo relacje tych drugich można sobie wyobrazić, choć teraz może nie byłiby już tak chętni do prezentowania swoich opinii.

Czesław Robotycki, który studiował w latach 1962—1968, wspomina Profesora z wyraźną sympatią i nostalgią:

Moja odpowiedź wprost na pytanie, jakim był Waligórski wykładowcą będzie paradoksalna, bo gdyby go brać jako mówcę, to był kiepskim mówcą. Był chory na astmę, w związku z tym zawsze mówił z trudnością, zaczynał się, czasem powtarzał. W końcowej fazie życia, kiedy jeszcze prowadził z nami zajęcia, dostawał ataków kaszlu, co go bardzo denerwowało. Musiał palić papierosy przeciwko astmie na sali, co też go krępowało, bo nikt nie palił na wykładach, nie było takiego zwyczaju. Czyli od tej strony zewnętrznej, można powiedzieć – same złe cechy, żaden mówca.

Do wykładów był zawsze świetnie przygotowany, ja nie przypuszczam, żeby on je jakoś specjalnie układał, ale w nim już była taka głęboka, poskładana wiedza, prezentowana przez pryzmat jego funkcjonalnego widzenia kultury. Pokazywał to w sposób fantastyczny, niezwykle klarowny, bardzo czytelny, co na tle ówczesnych koncepcji czy sposobów wykładania było czymś niezwykle różnym. Miał bardzo szerokie horyzonty, to był jeden z tych profesorów-polihistorów: świetnie znał literaturę, obce kraje, Anglię, czy Francję, o których wiedzę nam potem przekazywał na wykładzie, który się nazywał „Etnografia Europy”.

Prowadził go w sposób niezwykle nowatorski, nigdy nie zajmował się szczegółami, czyli na przykład różnicami w opisie strojów ludowych, wyznaczaniem jakichś tam zasięgów, czy inwentaryzacji przedmiotów, które mogłyby charakteryzować kultury ludowe w Europie. On twierdził, że Europa to jest pewien typ cywilizacji, który został w specyficzny sposób ukształtowany, a najważniejszym krajem wielkiej tradycji europejskiej była dla niego Francja. I o tej Francji w sposób niezwykle opowiadał. Zawsze będę podkreślał, że jak na ówczesne czasy, na lata sześćdziesiąte, człowiek, który mówi nam o etnografii Europy i opowiada o tym, ile to jest gatunków sera we Francji i jak gusta różnicują krajobraz kulturowy, to jest rzecz wyjątkowa. A drugim obszarem, który go fascynował, była Anglia. Pokazywał niezwykle skonwencjonalizowany charakter tego kraju. Teraz widzę, że usiłował nam przekazać tezę, że tendencją w cywilizacji europejskiej jest pewien rodzaj upraszczania kontaktów między ludźmi, pozbywania się bogatego sztafażu obyczajowego, który utrudnia kontakty i tworzy dodatko-

we progi obyczajowe, których nieznajomość uniemożliwia kontakty. On na tym tle pokazywał nam swoiście dziwną Anglię, pełną tych rytuałów, drobiazgów, które trzeba znać i on o tym w sposób ciekawy mówił i pokazywał, skąd się to brało. W tym sensie był bardzo nowatorskim wykładowcą. Opowiadał na przykład, jak się prowadzi rozmowy w Anglii, że nie można zacząć od tego, żeby nie powiedzieć paru słów o pogodzie, jak się rozwija różne dziwne wątki, zanim się przystępuje do sprawy. Cytował nam całe frazy bogate, jakie się przy tym stosowało. Jak wiemy, był też filologiem angielskim, więc to na pewno mu pomagało. Poza tym, co bardzo istotne, był niezwykle skromnym człowiekiem. Ta wiedza, którą przekazywał, nie miała spowodować jakiegos efektu u słuchaczy, czy dać jakiś efekt zewnętrzny.

Miałem z nim także (a kiedy się tego uczyłem, to jego książki o antropologicznej koncepcji człowieka jeszcze nie było) «Historię Etnografii». I to znowu była fascynująca rzecz, bo to nie były tylko nazwiska i koncepcje, ale to, co potem stało się pierwszą, wielką częścią książki, dotycząca, jak on to nazywał, refleksji przednaukowej, budowaniu kontekstu społecznego i kulturowego, w którym mogła powstać etnografia. To były wtedy fascynujące rzeczy. Poza przedwojennymi nie mieliśmy wtedy żadnego podręcznika do historii myśli społecznej (Szacki napisał swoją książkę dużo później, nie było jeszcze tłumaczenia Bakera i Barnesa). Wtedy gdy studiowałem, te wykłady Waligórskiego były jedynym źródłem europejskiego spojrzenia, że myśl społeczna to nie tylko kwestia samej koncepcji teoretycznej, ale także moda kulturalna, pewien system filozoficzny, który panuje w tym czasie.

Bardzo dużo mówił o swoich badaniach, bo mieliśmy z nim także «Etnografię społeczeństw plemiennych». Mówił nam o organizacji życia wschodniej Afryki, dużo wiedział oczywiście o Luo, fantastycznie opowiadał o Masajach, pasterzach z tamtych stron. Czasami przy okazji tych wykładów o Afryce wspominał o afrykańskich uczniach Malinowskiego, jak Jomo Kenyatta. Wtedy opowiadał o seminarium, że byli traktowani równo z wszystkimi innymi jego uczestnikami, że gdyby nie Malinowski ci afrykańscy przywódcy nie mieliby takiego poziomu intelektualnego. W ogóle o Malinowskim nic nie wiedzieliśmy, poza wykładami Waligórskiego, nigdzie to nazwisko nie padało, a potem jak się już pojawiało, to o tym, jaką on rolę odgrywał dalej nic nie pisano. Bardzo znamienita była jego ostra filipika w tekście *Malinowski w trzydziści lat później*, gdzie poruszony do głębi reakcją (mówił nam to także na wykładach i na odczycie w Komisji Etnograficznej PAN) na opublikowane wtedy dzienniki [Malinowskiego]. Uważał, że Malinowski przez Geertza i innych został spostponowany, zszargany, że tak nie można, że to wspaniała postać, że wbrew temu, co się sądzi, jest ciągle aktualny, że jego tezy się bronią i dalej w tym duchu.

Niestety nie byłem skrupulatnym notowaczem, ale sporo jednak pamiętam. Bywało, że mieliśmy trzy godziny tych wykładów. «Wstęp» najpierw, a potem «Etnografię społeczeństw plemiennych», na który to wykład dochodzili jeszcze archeolodzy. Mimo że były, jak mówiłem, trudno mówione, to na te zajęcia się chodziło. Nie opowiadał anegdot, choć miał swoje poczucie humoru, czasami powiedział jakiś dowcip, opowiadał go specyficznie i trzeba było zrozumieć, bo inaczej był naburmuszony, kiedy nie było odpowiedniej reakcji. Wykład nigdy nie był konstruowany w lekkiej, anegdotycznej sposób, skojarzeniowy, czy dygresyjny, kiedy się popada w dygresję jedna za drugą, tylko trzymał się schematu, bardzo poważnie opowiadał o swoich koncepcjach. Ze «Wstępu do etnografii» pamiętam, że dużą rolę przykładał do biologicznych determinantów człowieka, myśmy wtedy mieli antropologię fizyczną, ale ona była zupełnie inaczej traktowana, raczej opisowo. Uczono nas antropometrii i innych mało nam przydatnych rzeczy. A problem zdeterminowania człowieka biologią i relacje między biologią i kulturą o wiele lepiej poruszał Waligórski. Otwierał nam oczy na te sprawy. Mówił o rytmie biologicznym człowieka, o pierwotnych potrzebach, których się nie da pominąć. Mówił o niezwykle ważnej roli życia seksualnego, jako istotnego organizatora naszego życia. Wtedy to było coś nowego, bo komunizm był dość pruderyjny.

Na pierwszym roku miałem wykłady z Waligórskim, a oprócz tego logikę, ekonomię polityczną i filozofię marksistowską. Logikę prowadził docent Leszczyński, lubiłem te wykłady, bo czuć w nich było jeszcze porządną, przedwojenną szkołę. Te wykłady miały dla mnie uniwersytecki poziom. Na-

tomiast ekonomia była z jakimś koszmarnym panem Kędziorkiem, do dzisiaj go pamiętam, był nieznośnym dogmatykiem, strasznie go nie lubilem. Różnić się czuło od razu.

Uczestniczyłem także w jego seminarium etnograficznym, to już było na czwartym, piątym roku, było nas wtedy czworo. Pewnego razu przyniosłem świeżo wtedy wydaną książkę Lévi-Straussa i chciałem się dowiedzieć co on o tym sądzi, porozmawiać z nim, podyskutować, bo miałem do niego zaufanie, ale on nie podjął tej dyskusji, powiedział tylko: „proszę Pana, to nie jest nauka, może sobie Pan to czytać, ale to nie jest nauka”. Nie podejmował ze strukturalizmem dyskusji merytorycznej, ignorował go. Taką dyskusję przeprowadzaliśmy tylko na zajęciach z jego asystentką, panią Dyonizią-kową, ale to już nie było to, co z Waligórskim.

Jego kontakty ze studentami były bardzo naturalne, nikt nie próbował głupich żartów ani łamania dystansu wobec niego. Podobnie było później na starszych latach, kiedy mieliśmy zajęcia przy [ul.] Straszewskiego w sali z biblioteką, co nadawało swoisty charakter zajęciom, studentów było mało, wszędzie książki, bardzo mi się to podobało, był zupełnie inny styl uprawiania nauki niż na pierwszych latach. A na czwartym roku seminarium etnograficzne odbywało się w jego gabinecie, gdzie była stara, szara kanapa, w którą się zapadaliśmy. Mieściły się tam ze cztery osoby, naprzeciw siadał za takim ni to stołkiem, ni to biurkiem — Waligórski. Pozostawał więc dystans, ale było już wiele sympatycznej. Na czwartym roku potrafił mnie już posłać po papierozy, właśnie te astmatyczne, stąd wiedziałem, że takie palił.

Pani doktor Maria Lipok-Bierwiałczonek (Muzeum Śląskie), która studiowała etnografię w latach siedemdziesiątych, tak wspomina Profesora:

Przyjemnością było już samo obserwowanie go w czasie wykładu, wszyscy chyba pamiętają takie drobiazgi jak to, że on jako jedyny wybitnie długogłowy (mieliśmy wcześniej zajęcia z antropologii fizycznej, mierzyliśmy swoje głowy i nikt z nas nie mieścił się w wymiarach typu długogłowego) nosił okulary w taki sposób, że one ledwie koniuszkami zahaczały o uszy, bo wszystkie były na niego za krótkie i te okulary sprawiały mu zawsze trochę kłopotu.

Wprowadzał zawsze w tok wykładu jakieś anegdoki i dowcipy, bardzo subtelnie opowiadane. Był osobowością wyróżniającą się na tle innych prowadzących zajęcia. Nie wiem czy byliśmy dobrzymi odbiorcami mądrości, które nam przekazywał, podejrzewam, że byliśmy słabo przygotowani do odbioru treści, które nie bardzo się mieściły w obrazie tradycyjnej etnografii. Bo jednak on, mówiąc o tej Anglii i Francji, wprowadził bardzo szerokie rozumienie zjawisk kultury. Musieliśmy studiować także historię obu krajów, dużo czytaliśmy na ten temat. Profesor opowiadał na zajęciach o licznych gatunkach sera i o fajkach z korzenia wrzośca. Tego by pewnie dzisiaj nikt nie nazwał etnografią Europy, ale myśmy jeszcze studiowali w czasach, kiedy wszystko się musiało etnografią nazywać. Te wykłady pokazywały złożoność kulturową, wielość tradycji, z których te kraje czerpały. Kontakt z nim to był kontakt z osobą trochę legendarną. On nie eksponował tego, że był uczniem Malinowskiego, ale myśmy na niego tak patrzyli. Chcieliśmy więcej od niego wydobyć na ten temat, ale on był bardzo powściągliwy, on się raczej ściśle trzymał wykładu, z rzadka pozwalał sobie na jakieś opowieści. Jako wykładowca był nawet dość ostry, dopiero w kontakcie bardziej prywatnym trochę łagodniał i tajała jego powściągliwość kostycznego naukowca i ukazywał się człowiek pełniejszy.

Był recenzentem mojej pracy magisterskiej, z której byłam bardzo dumna bo w swoich badaniach, którymi objęłam wszystkie 32 rodziny przysiółka Skolnity w Wiśle zastosowałam test χ^2 do analizy rozkładów odpowiedzi, co było wtedy absolutną nowością. A profesor Waligórski mnie subtelnie wyśmiał: „ja wiem, że Pani jest bardzo dumna, że zastosowała χ^2 , ale po co? Przecież logikę tych związków widać i bez tego”.

Dobrze też wspominam samą obronę pracy magisterskiej. Byłam jedną z pierwszych osób na naszym roku, która broniła pracy. Była to dwugodzinna dyskusja profesora Gładysza, który był promotorem,

profesora Waligórskiego i mnie. Było to piękne spotkanie i bardzo przyjazne ze strony obu starych panów profesorów, tyle było sympatii w ich stosunku do mnie, że każdemu życzyć takiej obrony i spotkania z takimi mistrzami.

Waligórski był człowiekiem z innego świata: dystynkcja niezwykła, opanowanie, równie dobrze mógłby być profesorem jakiejś angielskiej uczelni, flegma, spokój, w jakim wykładał, perfekcyjne przygotowanie, karteczki, które rozkładał i wiedział, co gdzie ma, umiejętność wrzucenia anegdoty w tok wykładu, no i nie była to przecież nauka marksistowska, to rozszerzenie na zagadnienia kulturowo-historyczne to było dla nas coś niezwykłego, w pierwszym odruchu ktoś się nawet zachnął, że to nie jest etnografia. Myślę, że z tym sposobem prowadzenia zajęć świetnie by się odnalazł we współczesnej nauce. Szkoda, że nic z tego nie przetrwało.

Janusz Mucha (Instytut Socjologii UMK) opowiadał zabawną, ale jednocześnie wiele mówiącą o Profesorze anegdotę. Wydarzenie miało miejsce na wykładzie dla studentów socjologii, kiedy to Profesor zapytany o strukturalizm Lévi-Straussa, odpowiedział: „prawdziwy gentleman nosi się zawsze jeden sezon do tyłu”, więc nie widział powodu, żeby się strukturalizmem w ogóle zajmować.

Przyczyny tej niechęci do naukowych nowinek łatwo można zrozumieć, wgłębiając się w jego książkę.

*

Największym dziełem życia prof. Andrzeja Waligórskiego była opublikowana w r. 1973 *Antropologiczna koncepcja człowieka*, najobszerniejszy w języku polskim wykład historii antropologicznej teorii kultury. W książce tej dał wyraz swoim zainteresowaniom i swojej erudycji humanisty wielkiego formatu¹⁰.

Moja powtórna lektura tego dzieła, teraz po latach, była oczywiście dość specyficzna i ponad śledzenie precyzyjności wykładu przedłożyłam inne kwestie. Od razu na początku ujęło mnie nowoczesne podejście do antropologii społecznej (termin używany zresztą wymiennie z terminem „etnografia”), starające się odciąć od tradycyjnych podziałów i nazewnictwa, postulujące jedną naukę o człowieku i kulturze. Waligórski pisał, że:

[...] jedną z najbardziej istotnych cech współczesnej antropologii społecznej, do której doszła ona w wyniku swych bogatych doświadczeń badawczych, jest to, że przedmiotem jej badań są społeczeństwa proste, tzw. prymitywne czy chłopskie, lecz także sposób, w jaki prowadzi ona swe badania. Polega on na tym, że punktem wyjścia dla antropologa jest mała grupa, czy nią będzie społeczność lokalna, jakiś niewielki lecz jednolity rejon, jedna wieś czy nawet jedna jej część, a nawet niekiedy jedna zagroda z odpowiadającą jej grupą wielkorodzinną, która za to winna być przebadana w sposób bardzo szczegółowy¹¹.

Waligórski zdawał sobie sprawę z tego, że idzie w poprzek tradycji i uniwersyteckiej struktury, postulując istnienie jednej Nauki o Człowieku i używając zamiennie

¹⁰ A. Paluch, *Wspomnienie o profesorze Andrzeju Waligórskim*, „Przegląd Socjologiczny”, *op. cit.*

¹¹ A. Waligórski, *Antropologiczna koncepcja człowieka*, Warszawa 1973, s. 21.

terminu etnografia i antropologia społeczna. Zdawał sobie jednak sprawę z różnic genezy tych nauk, zwracając uwagę na to, że bardziej teoretyczna antropologia powstała w krajach anglosaskich i innych zachodnioeuropejskich, które przeszły przez procesy rewolucyjne, natomiast etnografia dominowała w krajach chłopskich, gdzie często była czynnikiem postaw nacjonalistycznych¹².

Niestety ciągle jeszcze taka jednolita koncepcja jest postulatem raczej niż rzeczywistością, o czym miałam się przekonać, gdy usiłowałam uruchomić Seminarium Antropologiczne, które w zamierzeniu miało łączyć badaczy organizacyjnie związanych z różnymi instytutami akademickimi i innymi placówkami naukowymi. Umiarkowany sukces tego przedsięwzięcia (przynajmniej na razie) każe powątpiewać, czy istotnie istnieje już jedna Nauka o Człowieku i Kulturze.

Lektura tej książki pozwala łatwo zauważyć, że dla Profesora Waligórskiego uwieńczeniem długiego rozwoju naukowej refleksji nad człowiekiem i jego kulturą jest metoda intensywnych badań terenowych. O ile do funkcjonalistycznej teorii ma – aczkolwiek nieliczne – zastrzeżenia, o tyle nie ma ich do jej praktyki. Jest ona doskonałym ukoronowaniem rozwoju tej nauki, jest etapem idealnym. Można by zatem zaryzykować sugestię, że w swej refleksji metanaukowej był Waligórski ewolucjonistą. W tej perspektywie oczywistą się staje jego niechęć do strukturalizmu, bo skoro funkcjonalizm był etapem najwyższym, to co nastąpiło po nim nie jest już nauką¹³.

Wypożyczony przeze mnie z Biblioteki Instytutu Socjologii egzemplarz tej książki jest bardzo pieczołowicie przez co najmniej kilka osób przestudiowany, o czym świadczą systematyczne podkreślenia: dyskretnie i cywilizowane ołówkiem, bardziej zdecydowane niebieskim długopisem, obrazoburcze długopisem czerwonym, aż wreszcie podkreślenia desperackie czarnym flamastrem. Brak natomiast na marginesach uwag polemicznych, znaków fundamentalnego sprzeciwu, czy przeciwnie – absolutnego zachwytu. Czytelnikami byli po prostu studenci przygotowujący się do egzaminu. Wszelako znalazłam jedną uwagę. Obok zdania referującego myśl Locke'a: „O ile rząd nie odpowiada interesom ludu, ten ostatni może go zmienić lub obalić”, czerwony długopis dopisał: „oj...”. I tyle.

Poza tym jestem zaskoczona niezwykle niechlujną korektą, przepuszczającą nie tylko ewidentne literówki, jakieś byty wykreowane przez niedouczoną maszynistkę, ale zostawiające – dość rzadkie, trzeba przyznać – potknięcia stylistyczne Autora. Widocznie wtedy, we wczesnych latach siedemdziesiątych, na redaktorach spoczywały inne zgoła zadania i na normalną techniczną korektę nie było już czasu.

¹² *Ibidem*, s. 124–128.

¹³ Profesor Adam Kuper zauważył (gdy prezentowałam skróconą wersję tego tekstu na kongresie antropologicznym w Pradze we wrześniu 1999 r.), że w swych reakcjach nie był Waligórski odmienny od innych uczniów Malinowskiego, z którymi miał okazję się zetknąć.

*

Mówi Michał Waligórski:

Mnie się wydaje, że ojciec był bardzo mocny od strony teorii, grał dobrze w szachy, miał umiejętność logicznego myślenia, która nie jest taka częsta, miał też bardzo dobre wyczucie czym jest model, np. u Malinowskiego, nie dogmat, którego wiele osób kurczowo się trzymało, nie rozumiejąc o co chodzi. Ojciec zaś miał dużą swobodę posługiwania się tym modelem, tym sposobem myślenia. Wiem, że jak jeździł ze studentami na obozy, do Zubrzycy Górnej czy gdzieś, to sugerował mi, że widział, w jaki sposób takie proste kultury, nie prymitywne, ale właśnie proste, działają, że w tym celu nie trzeba badać czarnych ani Melanezyjczyków, ale można robić badania w Polsce. Irytowała go część etnografów, bo mówi: „opisują sochę i cztery sposoby wiązania sochy, ale nie rozumieją po co w ogóle socha jest, nie widzą, że ta forma wynika z jej funkcji, a nie jest formą samą w sobie”. Ojciec to bardzo tępił. On wykładał etnografom, ale nie uważał się za etnografa.

Jak ja studiowałem fizykę, to jego fascynowało, w jaki sposób się buduje modele fizyczne, dużo o tym rozmawialiśmy i jemu to bardzo pasowało, bo on robił to samo z modelem Malinowskiego. Jego intrygowało, w jaki sposób się składa elementy modelu, jak się go testuje. Teraz widzę, jak bardzo świadomie podsuwał mi lektury do czytania, jak kształtował mój intelekt. Grywał ze mną w szachy, traktując to jako stymulację intelektualną. Jemu poza tym zależało na kontakcie ze mną, w tej skomplikowanej sytuacji rodzinnej, myśmy jednak spędzali sporo czasu ze sobą z jego inicjatyw.

Patrząc na mojego ojca jako na człowieka, który przede wszystkim dużo w życiu zrobił, który na pewno jest dla mnie jakimś modelem, ale też sam siebie pokonał, przeszkodził samemu sobie w pełnym rozwinięciu się. Urodził się w złym czasie i w złym miejscu. Urodził się może w dobrym czasie, jeśli chodzi o Malinowskiego, ale w złym czasie, jeśli chodzi o to, co się wtedy w Polsce działo. Dla młodych ludzi, z którymi rozmawiam, stalinizm to jest historia, ale ta historia ukształtowała mojego ojca, mój ojciec by zupełnie inaczej prosperował, gdyby go przenieść przynajmniej te dwadzieścia lat później.

W ciepłym wspomnieniu o Profesorze Wanda Leopold pisała, że:

Życzliwość w stosunku do ludzi, bezinteresowność, łagodność i pewna sceptyczna wyrozumiałość były w ogóle cechami jego usposobienia, tym bardziej zauważalnymi, że nieczęsto je się dziś spotyka. W bezpośrednim obcowaniu okazywał się człowiekiem niezwyklej delikatności i wrażliwości. Typem tych ludzi, o których mówi się, że są „bez naskórka”, reagują na najdrobniejsze dotknięcie, odczuwają je silniej, są bez ochrony. Łączy się to często z dużym egocentryzmem. Ale nadwrażliwość prof. Waligórskiego obracała się i ku rozmówcy: traktował go według tej samej skali, czujny nieustannie by nie wywołać cienia choćby przykrości czy niemiłego skojarzenia. Śledził nieznacznie reakcje rozmówcy, jego intonację czy wyraz twarzy, gotów w każdej chwili do pokierowania na inne tory, jeśli odnosił wrażenie znudzenia czy zniechęcenia. W ogóle poza innymi umiejętnościami znał też sztukę rozmowy: [...] Znał doskonale literaturę polską, angielską i niemiecką [...] — zawsze bardzo skromny — lekceważył tę swoją wiedzę, traktował jako bardzo prywatne amatorstwo i w rozmowach ustawiał się jako ten, który chciałby się coś z tego zakresu dowiedzieć. Dopiero przy konkretnych problemach i utworach ujawniała się Jego wiedza i zamilowanie. Szczególnie bliska była mu poezja, żył nią na co dzień, prawie zawsze na Jego biurku widziałam jakiś tomik poezji, niewątpliwie niekonieczny do ściśle zawodowej pracy.

[...] Pamiętam, jak przy jednym ze spotkań, nad którym wisiała jakaś aura rozgoryczenia, wziął z biurka zaczytany tomik Gałczyńskiego i podnosząc go w górę, zacytował:

Niechaj tam inni książki piszą. Nawet
niechaj im sława dźwięczy jak wieża studzonna,
ja książkę pisać nie umiem, a nie dbam o sławę –
Serwus, Madonna [...]

Ostatni okres życia prof. Waligórskiego był zresztą pogodniejszy: osiągnięcia niektórych uczniów, pomysły na ułożenie się spraw własnych dzieci, rozmaite dowody zainteresowania jego książką o antropologicznej koncepcji człowieka, dalsze plany pisania, przygotowywanie międzynarodowej sesji poświęconej Malinowskiemu...¹⁴.

Niestety plany dotyczące Mistrza spełniły się dopiero po śmierci Profesora, staraniem jego ucznia, Andrzeja Palucha, któremu pomagało grono współpracowników z Zakładu Antropologii Społecznej.

Idea polskiego wydania *Dziela* Bronisława Malinowskiego – pisał we *Wstępie* Andrzej Paluch — zrodziła się w jego macierzystej uczelni Uniwersytecie Jagiellońskim. Wystąpił z nią uczeń i wierny propagator antropologii Malinowskiego – profesor Andrzej Waligórski. Niestety, śmierć Profesora w 1974 r. uniemożliwiła mu zrealizowanie tego zamiaru. Został on podjęty przez Polską Akademię Nauk i staraniem obecnego Komitetu Redakcyjnego ukazuje się tom pierwszy *Dziela* Malinowskiego¹⁵.

Edycja *Dziela* dojrzała do tomu siódmego i na tym stanęła. Nie wydaje się, żeby sytuacja miała się prędko zmienić, gdyż Komitet Badań Naukowych odmówił w bieżącym roku nowemu Komitetowi Redakcyjnemu grantu na opracowanie dalszych tomów.

O wiele lepiej wypadła realizacja innej idei Profesora Waligórskiego, mianowicie międzynarodowej konferencji dla uczczenia Bronisława Malinowskiego. Odbędzie się ona dzięki organizacyjnej pracy Andrzeja Palucha i jego współpracowników w 1984 r. w stulecie urodzin wielkiego antropologa. Udało nam się na tę uroczystość zaprosić wielu znanych uczonych, z którymi później przez wiele lat współpracowaliśmy, a niektórzy z nich, jak prof. Ernest Gellner czy Edwin Ardener, stali się naszymi przyjaciółmi. Materiały z tej sesji ukazały się w tomie polskim oraz po uzupełnieniach wydane zostały także przez Cambridge University Press¹⁶.

*

Zakończę ten szkic omówieniem ostatniego artykułu Profesora *Malinowski w trzydziście lat później*, a szczególnie problemu publikacji dzienników tegoż uczonego oraz ich recepcji w środowisku antropologicznym.

¹⁴ W. Leopold, *Wspomnienia o profesorze Andrzeju Waligórskim*, „Przegląd Socjologiczny”, t. XXVIII, s. 338–341.

¹⁵ A. Paluch, *Wstęp*, [w:] B. Malinowski, *Dziela*, t.1, Warszawa 1984, s. 11.

¹⁶ G. Kubica, J. Mucha (ed.), *Między dwoma światami – Bronisław Malinowski*, Warszawa 1986, R. Ellen, E. Gellner, G. Kubica, J. Mucha (ed.), *Between Two Worlds: Malinowski*, Cambridge 1988.

Żeby uprzytomnić dzisiejszemu czytelnikowi polską rzeczywistość naukową, w której Profesor funkcjonował, wystarczy zacytować tytuł następnego artykułu w tamtym numerze „Studiów Socjologicznych”, a brzmiał on: *Ogólnosocjologiczne prawo zgodności stosunków produkcji ze stanem sił wytwórczych*, nazwiska autorki wielkodusznie nie przywołam.

Tekst Profesora świadczy o tym, jak bardzo, mimo niesprzyjających warunków, był czytany w światowej literaturze, jak umiał ją odpowiednio omówić, skomentować, skrytykować. Wszystko to robi, aby bronić swego Mistrza, który, jak często to podkreśla, jest pomijany lub atakowany w sposób nie merytoryczny. Jednak według Profesora Waligórskiego najbardziej do powstania antylegandy Malinowskiego przyczyniła się publikacja jego dziennika, który

[...] był najwidoczniej traktowany jako rodzaj prywatnego *aide-mémoire*, w którym autor mógł dać upust swym chwilowym nastrojom, tęsknotom, a często także stanom depresyjnym, spowodowanym samotnością, obcym otoczeniem, a także w niemałym stopniu słabym zdrowiem, z którym toczył nieustanną walkę. Dlatego też dziennik, który – być może – stanowiłby interesujący materiał dla psychologa czy lekarza psychiatry, w którym jawią się co pewien czas zapiski myśli frapującej swą bystrością czy oryginalnością, w sumie stanowi dla czytelnika lekturę męczącą. Z punktu widzenia etnologa, jest to dokument mało wartościowy: [...] Toteż *Dziennik*, który zapewne nigdy nie był przeznaczony do publikacji w postaci, w jakiej udostępniony został czytelnikowi, przyniósł w sumie więcej szkody niż pożytku pamięci Malinowskiego. Dał on oręż do rąk wielu ludziom nieprzychylnym Malinowskiemu¹⁷.

Bardzo podobny pogląd prezentował inny uczeń tegoż – Raymond Firth w przedmowie do pierwszego wydania dzienników. W drugiej, napisanej po dwudziestu latach, zmienił już nieco zdanie, zauważając, że można mieć z lektury dzienników jednak pewne korzyści.

So in this second Introduction to the Diary I would modify one judgement in the first Introduction. Though the book is undoubtedly lacking 'in its purely ethnographic sense' I would no longer rank it as 'no more than a footnote to anthropological history'. The concept of ethnography has altered and widened, and the book has accordingly moved over to a more central place in the literature of anthropological reflection. It is not merely a record of the thinking and feeling of a brilliant, turbulent personality who helped to form social anthropology; it is also a highly significant contribution to the understanding of the position and role of a fieldworker as a conscious participator in a dynamic social situation¹⁸.

Paradoksalnie — rzecz, która miała się w największym stopniu przyczynić do powstania antylegandy Malinowskiego, w efekcie spowodowała, że jest on ciągle ważnym, czytany i docenianym twórcą. Co więcej, wydaje mi się, że właśnie publikacja dzienników przyczyniła się do powstania refleksji postmodernistycznej w antropologii, odsłoniły one bowiem, nie w pełni przedtem uzmysławiany fakt, kreacyjnego charakteru wszelkiego pisarstwa antropologicznego. Dzienniki obroniły się ponadto

¹⁷ *Ibidem*, s. 22.

¹⁸ R. Firth, *Second Introduction 1988*, [w:] B. Malinowski, *A Diary in the Strict Sense of the Term*, Stanford Univ. Press, Stanford 1989, s. 31.

jako dzieło ciągle inspirujące, nie tylko dla psychiatry, ale właśnie dla antropologa. Mam nadzieję, że Profesor wybaczyłby mi moją odmienną od swojej opinię, oraz fakt, że to właśnie ja opracowuję i uprzystępniam polskiemu czytelnikowi dzienniki jego Mistrza, nie tylko te już opublikowane wcześniej po angielsku, ale także wcześniejsze¹⁹, które może nawet w jeszcze większym stopniu nadają się na lekturę dla psychiatry, ale są jednocześnie fascynującym zapisem stawania się tej nieprzeciętnej osobowości, świadectwem czasów, w których żył, które może dla Profesora Waligórskiego nie były jeszcze tak odległą historią, jaką są dla nas. Może właśnie czasowy dystans powoduje, że potrafimy na Malinowskiego popatrzeć nieco inaczej, choć przecież też go czcimy.

Tego wszystkiego wtedy na Cmentarzu Rakowickim dwadzieścia pięć lat temu nie można było wiedzieć.

Grażyna Kubica

¹⁹ Patrz „Konteksty. Polska Sztuka Ludowa” 1998, nr 1 (1999), nr 1—2.